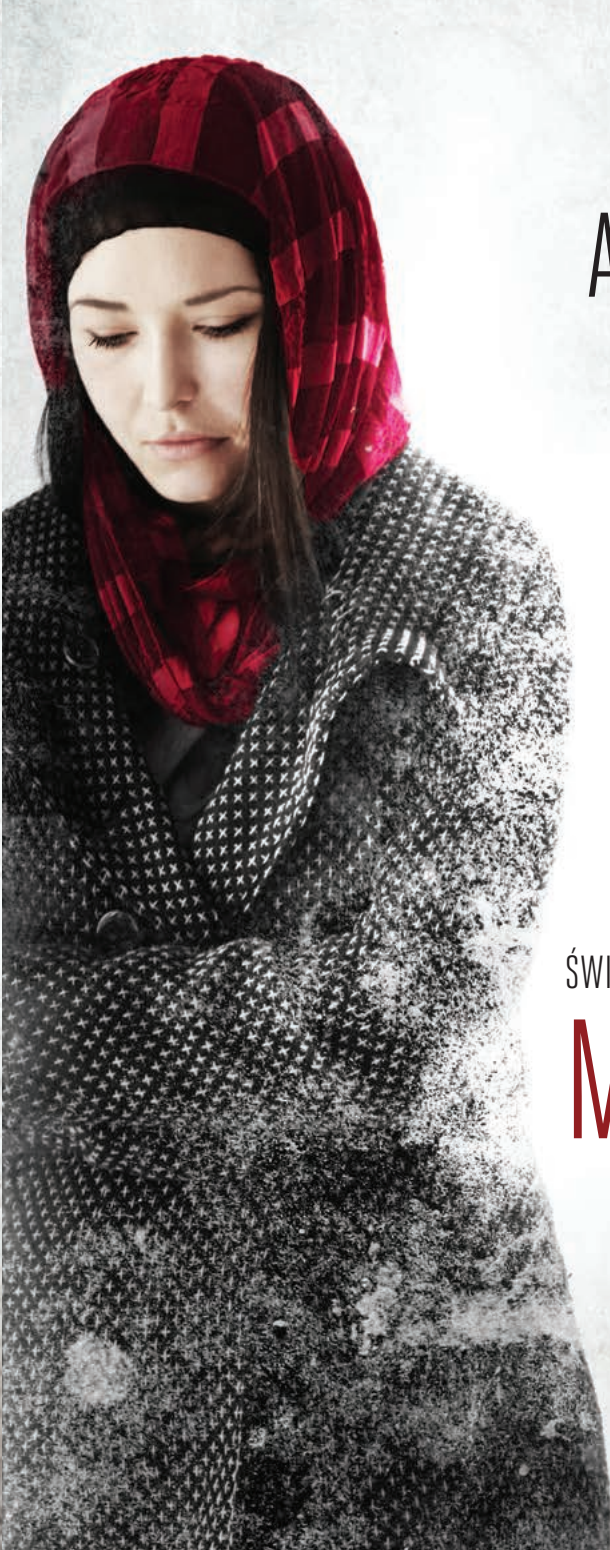




MARINA
ACHMEDOWA

FINALISTKA ROSYJSKIEGO
BOOKERA

PORUSZAJĄCY OBRAZ
ŚWIATA MUŻŁMAŃSKIEJ DZIEWCZyny

MUSIAŁAM
UMRZEĆ

Marina Achmedowa

MUSIAŁAM UMRZEĆ

tłumaczenie
Aleksandra Stronka

znak *litera*
nova

Kraków 2015

Tytuł oryginału

Дневник смертницы. Хадиджа

Copyright © 2011 by Marina Akhmedova

First publication 2011 Astrel/AST, Russia

Published by arrangement with ELKOST Intl. literary agency and Agencja literacka Graal

Copyright © for the translation by Aleksandra Stronka

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia autorki na czwartej stronie okładki

© Julia Lisnyak

Opieka redakcyjna

Bogna Rosińska

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

Editio

ISBN 978-83-240-2705-7

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelniczy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2015

Druk: Abedik

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wiosna ma się ku końcowi, codziennie leje jak z cebra – z chmur spadają duże, ciężkie krople. Kiedy byłam mała, wychodziłam na drewniany ganek, wkładałam stojące pod daszkiem kalosze i trzymając się poręczy, długo patrzyłam na chmury. Chyba dlatego tak dobrze je zapamiętałam. Przypominały kłaczki owczej wełny, które ciocia Nadira wyjmowała z materaców do prania. Najpierw moczyła wełnę w dużej blaszanej miednicy, a później suszyła ją na ceracie rozłożonej w słonecznej części podwórza. Wełna w miednicy zbijała się w kłaczki wielkości pięści, więc razem z ciocią i babcią skubałyśmy ją palcami, zanim z powrotem znalazła się w zaszytym na nowo perkalowym pokrowcu. Chmury, które obserwowałam w tamtych dniach, były podobne do kłaczek wełny zamoczonych w wybielaczu.

U nas na wsi rzadko się zdarza, żeby ulewny deszcz padał przez kilka dni bez przerwy. Przykładam dłonie do nasiąkniętej wodą poręczy i wydychuję obłoczki pary, które również przypominają potarganą wełnę – tak samo robiłam w dzieciństwie. Jest zimno, więc podkulam w kaloszach zamarznięte palce u nóg.

Wieczorami ciocia Nadira, nasunawszy na czoło dużą wełnianą chustę złożoną na dwoje, chodzi do źródła po wodę. Zarzuca na ramiona dwa blaszane dzbany naraz. Czasami, gdy deszcz słabnie, zabiera mnie ze sobą, a ja przynoszę wodę w starym emaliowanym czajniku bez pokrywki. Dzisiaj również, ślizgając się w błocie, powędrowaliśmy do źródła.

Kiedy u nas na wsi pada deszcz, ziemia staje się miękka i grząska, toteż wszyscy podkładają pod nogi polana i deski, żeby się nie przewrócić. Za to podczas upału ziemia jest bardzo twarda i tak sucha, że tworzą się w niej głębokie szczeliny. Kiedyś do nich zaglądałam – myślałam, że zobaczę światło albo oczy kogoś, kto zajrzał w głęb tej samej szczeliny z drugiej strony, bo przecież Ziemia jest okrągła.

6 Dawniej z ziemi, leżącej u nas na drodze, budowano domy. Mieszano ją ze słomą, ugniatalo nogami, wkładano do drewnianych prostokątnych form i suszono na słońcu. Wiele domów w naszej wsi powstało z takich właśnie cegieł własnej roboty. Mało kto buduje domy ze śliskich kamieni polnych zbieranych nad brzegami dwóch rzek, które przepływają z obu stron naszego sioła. Kiedyś tylko jeden dom w naszej wsi był murowany. Należał do generała Kazibiekowa. Gdy tylko generał wybudował swój dwupiętrowy dom na lewym skraju wsi, wszyscy się zbiegli, żeby go obejrzeć. Przychodzili nawet ludzie z sąsiednich wiosek. Generał nie mieszka w tym domu, przyjeżdża z miasta jedynie od czasu do czasu na parę dni. Razem z nim zjawia się jego rodzina – żona z dziećmi – i wtedy cała wieś znowu się gromadzi, żeby na nich popatrzeć. Kiedy żona generała idzie po wodę z ręcznikiem podłożonym pod dzban na ramieniu – ponieważ miastowi nie umieją nosić wody ze źródła – wszystkie kobiety również wychodzą z dzbanami ze swoich domów i podziwiają jej jedwabną chustkę, spódnicę z szyfonu oraz złote pierścionki na palcach, podczas gdy ona stoi w kolejce do źródła. Powiadają, że generał ma w mieście jeszcze większy dom,

a dziadek twierdzi, że ten w naszej wsi zbudował tylko po to, żeby się przed wszystkimi pochwalić. Kiedyś ja też mieszkałam z mamą w mieście, ale później, po śmierci ojca, przeprowadziłyśmy się na wieś. Teraz, gdy mam trzynaście lat i piszę ten dziennik, dom generała Kazibiekowa nie jest już najładniejszy. Niektórzy mieszkańcy tak się wzbogacili, że swoje domy zrobione z gliny i słomy zastąpili domami z czerwonej albo białej cegły, z wysokimi żeliwnymi bramami, na których widnieje półksiężyc z gwiazdą namalowany białą albo zieloną farbą.

Mieszkamy w domu zbudowanym w połowie z drewna, a w połowie z gliniano-słomianych cegieł. Każdego lata babcia pokrywa ściany rzadką gliną. Sufit jest zrobiony z bali – cienkich, okorowanych pni drzew, które z czasem zbrązowiały i wyglądają, jakby były pomalowane cienką warstwą bezbarwnego lakieru do paznokci. Nocami, leżąc na podłodze na wełnianym materacu, długo im się przyglądam, słuchając przez ścianę cykania świerszcza. Z takich samych bali jest wykonany warsztat tkacki, który należy do babci. Zajmuje on całą ścianę w dużym pokoju. Kiedy babcia kończy tkąć dywan, naciąga na krosno nowy rząd szarych, wełnianych nici. Będąc małą dziewczynką, przesuwałam po nich palcem – mocno naprężone nitki śpiewały jak czungura* dziadka.

W domu mamy wszystko, co jest potrzebne do tkania dywanów. Przede wszystkim wełnę z owiec, które dziadek strzyże wielkimi specjalnymi nożycami. Kiedy żyła mama, obie z babcią chodziły nad rzeczkę z dużymi koszami pełnymi wełny. Rozkładały ją na szerokich kamieniach, nabierały wiaderm wodę z rzeki, polewały wełnę i zrzucały gumki, ugniatały ją bosymi stopami. Później znowu ładowały wełnę do koszy i zносиły ją do domu, żeby się suszyła na dworze. Babcia miała krosno z okrągłym kołem i wieczorami zamieniała potarganą wełnę w grubą nić. W przeciwieństwie

* Czungura – wschodnia gitara z metalicznymi strunami (przyp. red.).

do innych rodzin nie jeździliśmy do miasta, żeby ufarbować nici na czerwono, niebiesko czy zielono. Babcia robiła to sama, rozpuszczając farbę w saganach z wrzącą wodą.

Babcia obiecała, że nauczy mnie tkąć dywan, gdy skończę dziewięć lat i będę musiała zabrać się do przygotowania swojego posagu – trzech sumaków i dwóch dywanów. Czekałam, aż urosnę i pozwolą mi samej chodzić z dzbanem po wodę. Co pewien czas przymierzałam dzban, ale nawet pusty boleśnie wpijał mi się w ramię. Mama przynosiła ze źródła tylko jeden dzban wody.

Mama była chuda, słaba i miała cienkie kości. Z małymi stopami i wąskimi ramionami nie przypominała wiejskich kobiet. Kiedy dźwigała ze źródła ciężki dzban, wydawało mi się, że niewiele brakuje, by się złamała. Gdy potrzebowaliśmy dużo wody, mama maszerowała dwa razy. Babcia nie pozwalała jej podkładać ręcznika pod ucho dzbana. Chciała, żeby mama znowu wyszła za mąż. Po śmierci ojca mama często płakała, nikogo nie odwiedzała i wychodziła tylko po wodę, więc babcia się bała, co ludzie pomyślą: jeszcze uznają, że mama się rozchorowała.

8

W naszej wsi jest mnóstwo gliny. Czasami, w deszczową pogodę, kobiety idą na krańce sioła z łopatami, wykopują ziemię i przynoszą do domu, żeby pokryć nią podłogę i ściany. Glina sprawia, że ziemia na drodze jest bardzo lepka i przywiera do kaloszy: robisz krok i do warstwy gliny klei się kolejna.

Gdy szliśmy dzisiaj z ciocią Nadirą po wodę do źródła, na kaloszach zebrało nam się dużo błota, więc stanęliśmy przy kłodzie na drodze i ostukałyśmy o nią podeszwy.

Z pobliskiego domu, ogrodzonego świeżymi i żółtymi balami, wyskoczyła nasza sąsiadka Sakina. Ubiegłego lata wyszła za mąż, urodziła dziewczynkę i znowu była w ciąży. Teraz będzie rodziła, dopóki na świat nie przyjdzie chłopiec. Sakina również taszczyła na ramionach dwa dzbany. Przywitałyśmy się, a ciocia objęła Sakinę jedną ręką. Taki panuje u nas zwyczaj. Dalej ruszyliśmy we

trzy. Źródło znajduje się na końcu wsi, za domem generała Kazibie-kowa. Przez całą zimę kobiety chodzą po wodę nad rzeczkę, ponieważ podczas mrozów źródło zamarza. Z nastaniem wiosny woda w źródle znów popłynęła, więc teraz ustawia się do niego kolejka.

Do źródła schodzą się również chłopcy – po południu, kiedy w domach kończy się woda przyniesiona wczesnym rankiem. Stają z boku, pod starym drzewem orzechowym, i rozmawiają o swoich sprawach, choć żadnych szczególnych spraw mężczyźni w naszej wsi nie mają. Sprawy są gdzieś daleko – w Rosji albo w Baku. Mężczyźni wyjeżdżają tam zimą na zarobek, a na początku lata wracają, żeby odpocząć. Docierały do nas fragmenty ich rozmów – chłopcy specjalnie podnosili głos, żeby dziewczęta nie myślały, że to one są tematem dyskusji. Rozmowy o obcych kobietach nie są u nas przyjęte. Mężczyźni zaczynają głośniejsze ze sobą rozmawiać, nawet gdy przypadkiem spotykają kobietę na drodze. W czasach młodości mojej babci kobieta, zobaczywszy idącego z naprzeciwka mężczyznę, musiała się zatrzymać, odwrócić do niego plecami i zaczekać, aż ją minie. Teraz kobiety po prostu spuszczają wzrok i idą, patrząc pod nogi. U nas nie wypada spoglądać na obcych mężczyzn.

Jakiś chłopak obrzucił szybkim spojrzeniem dziewczynę z sąsiedztwa. Przyszła po wodę w ładnej chustce i czystych kaloszach. Wielu chłopców wybiera sobie żony przy źródle. Ale chłopcy i dziewczęta nie rozmawiają ze sobą. Dziewczyna po prostu czeka, aż chłopiec, który jej się spodobał, przyśle do domu swatów.

Kobiety po kolei podsuwały wąskie, wysokie szyjki dzbanów pod szeroki, pieniący się strumień, napełniały je, zrećźnie podnosiły i umieszczały na ramionach. Ciocia napełniła oba dzbany po same brzegi. Z jednego woda chlusnęła jej na plecy, gdy go stawiała na ramieniu. Aż się skurczyłam z zimna, chociaż to nie były moje plecy. Źródlana woda jest bardzo zimna. Jeśli się podstawia pod strumień dłoni, to od razu zaczynają drętwieć palce. Od kilku łyków takiej wody mogą nawet rozboleć zęby. Jednakże ciocia dawno do

wszystkiego przywykła. Kiedyś i ja będę mogła nosić dzban, ale na razie jestem od niego większa zaledwie o pół głowy.

Nasza wieś jest niewielka. Ma tylko jedną ulicę z domami po obu stronach. Prawie na końcu wsi droga skręca w prawo i ciągnie się jeszcze wzdłuż kilku domów. Za nimi zaczynają się góry. Po drugiej stronie siola również wznoszą się góry. Nasza wieś leży pomiędzy nimi, w dolinie. Wokół nadal jest sporo miejsca, więc każda nowa rodzina osiedla się na obrzeżach. Wieś się powoli rozrasta.

10 Nasz dom znajduje się na skraju wsi, po przeciwnej stronie niż dom generała. Zaraz za naszą bramą zaczyna się cmentarz. Gdy tylko pradziadek mojego dziadka wybrał tę działkę pod dom, cmentarz znajdował się jeszcze daleko, ale stopniowo się powiększał, aż dotarł pod naszą bramę. Na nagrobkach nowego cmentarza są wyłobione daty i nazwiska, półksiężyc oraz gwiazda. Dalej zaś, za nimi, zaczyna się stary cmentarz – stare kamienie rzeczne pokryte zielonym mchem. Dawniej, kiedy ktoś umierał, jego krewni szli nad rzekę i szukali na brzegu odpowiedniego kamienia. Zmarłego zakopywano w ziemi, a miejsce oznaczano kamieniem. Na kamieniach niczego nie pisano, ale każdy rozpoznawał swój kamień. Członków jednej rodziny grzebano obok siebie. Teraz mało kto odwiedza tę część cmentarza, stare kamienie dawno się poprzeczylały i porosły gęstym mchem. W dzieciństwie wydawały mi się zębami wielkiego smoka, z których kiedyś wyrosną nowi ludzie.

Lubiłam przechadzać się pośród tych kamieni, zwłaszcza latem, gdy pod stopami ścieliła się jaskrawozielona trawa, a wszędzie nokoło wznosiły się kędzierzawe góry. Kiedy byłam mała, myślałam, że góry są pokryte miękką zieloną wełną, jak owce. Później dziadek mi wytłumaczył, że to nie wełna, tylko drzewa, które w oddali zlewają się w jeden kobierzec.

Na cmentarzu zawsze jest bardzo cicho, z wyjątkiem dni pogrzebów. Wówczas zjawiają się tu mężczyźni. Kilku z nich niesie na ramionach zrolowany dywan, a pozostali idą za nimi ze spuszczoneymi głowami. Nie ma wśród nich kobiet – nasze kobiety nie uczestniczą w pogrzebach. Mężczyźni opuszczają dywan do wykopanego dołu, zasypują go ziemią, stoją dokoła, wysuwają przed siebie rozłożone dłonie i cicho się modlą. Wiem, bo w dzieciństwie obserwowałam ich z werandy naszego domu i wydawało mi się, że szepczą coś sobie w dłonie, tymczasem okazuje się – jak później wyjaśnił mi dziadek – że w ten sposób rozmawiają z Bogiem.

– A gdzie jest Bóg? – zapytałam dziadka.

– Tam. – Uniósł palec w górę.

– Jeśli jest na górze, to dlaczego oni coś mówią, patrząc w dół? – Nie ustępowałam.

– Zrozumiesz, kiedy dorośniesz – odrzekł dziadek.

Pewnego razu, gdy zachorowała nasza krowa i musiałyśmy z babcią same zaprowadzić ją na pastwisko, zobaczyłam na cmentarzu coś strasznego.

11

Wyruszyłyśmy, gdy tylko zaczęło się rozwidniać. Babcia popędzała krowę długim kijem, a kiedy krowa posłusznie szła naprzód, babcia podpierała się kijem. W drodze powrotnej zawędrowałam na cmentarz.

Obeszłam nowy cmentarz. Wzięłam sobie ciasto ze świeżego grobu. Zdmuchnęłam z niego mrówki. Ciasto było mokre od rosy, ale i tak je zjadłam. U nas w domu rzadko bywały jakieś słodkie, poza cukrem i miodem. Zbierałam cukierki i ciasto z grobów, dlatego lubiłam, kiedy we wsi kogoś grzebano – przez cały tydzień krewni przynosili na grób jedzenie, żeby inni mogli się poczęstować.

Wędrując po starym cmentarzu, dotykałam kamieni i mchu. Słońce jeszcze nie zdążyło nagrzać kamieni. Zauważyłam, że na nowym cmentarzu kamienie nagrzewały się szybko, a te tutaj jeszcze

w południe pozostawały zimne. Może dlatego, że ludzie, którzy pod nimi leżeli, umarli dawno temu?

Odszukałam grób praprababci. Za każdym razem, przychodząc na stary cmentarz, usiłowałam go znaleźć. Pewnego dnia babcia pokazała mi miejsce, gdzie leży praprababcia, ale go nie zapamiętałam. Wszystkie kamienie są jednakowe, nie ma na nich żadnych znaków, trzeba dobrze się orientować, gdzie został pochowany twój ród, żeby go nie pomylić z innym.

12 Powiadano, że kiedy moja praprababcia umarła, z jej grobu wzniosł się ku niebu słup światła i był widoczny przez dłuższy czas. Ktoś nawet powiedział: „Czyż taka poleży w ziemi? Taka od razu trafi do nieba”. Wszyscy mieszkańcy wsi szanowali moją praprababcie. Mówili, że rankiem latała na świętą górę Szałbuzdag, którą zamieszkują święte duchy. Wierzchołek góry pokrywa śnieg, od naszego sioła to kilka dni drogi. Z góry spływają rzeki, a z ich dna podnoszą się różnokolorowe słupy światła. Na szczycie znajdują się dwa kamienie – kto chce oczyścić się z wszystkich grzechów, musi pomiędzy nimi przejść. Jeśli jednak człowiek jest bardzo grzeszny, kamienie się zaciskają i go nie przepuszczają. A gdy jest święty – na odwrót, rozsuwają się i może przejść. Czasami nawet bardzo chudzi ludzie utykają pomiędzy kamieniami, a grubi łatwo przechodzą. Nie wolno wjeżdżać na tamten szczyt, trzeba iść pieszo, bo inaczej to grzech.

Powiadano, że któregoś ranka ludzie widzieli, jak praprababcia strząsa śnieg z czaryków. Było lato, więc we wsi śnieg nie leżał. Czyli że praprababcia latała na tamtą górę – tak mówiono. Opowiadano jeszcze, że rozmawiała ze świętymi. Pewnego razu zjawił się u nas w domu żebrak z długą białą brodą, wsparty na kij. Praprababcia dała mu kawałek owczego sera zawiniętego w podłomyk.

– Nie – powiedział żebrak – tego nie wezmę. Zdejmij tamten dywan, co wisi na ścianie.

Prapradziadek chciał przepędzić bezczelnego żebraka, ale praprababcia prędko zdjęła ze ściany dywan, który tkła przez pięć lat, zrolowała go i wręczyła żebrakowi. Obdartus zniknął, a dywan znaleziono za furtką. Później mówiono, że to był święty, który przyszedł sprawdzić moją praprababcie.

Również i tym razem nie potrafiłam odnaleźć jej grobu. Obe-
szłam stary cmentarz, zatrzymałam się na skraju i omiotłam wzro-
kiem wszystkie kamienie. Myślałam, że może praprababcia za-
świeci się i da mi znak. Żaden grób jednak się nie świecił.

Za cmentarzem znajdowało się zbocze, na którym jeszcze nie
byłam. Gdy ruszyłam w dół, kalosze zaczęły się ślizgać po trawie.
Pobiegłam więc, żeby się nie przewrócić. Kiedy się biegnie po gór-
skim stoku, nogi same się poruszają i nie pozwalają się zatrzymać,
dopóki nie dobiegnie się do równej drogi.

Dalej zaczynał się las, a pomiędzy nim a stokiem znajdował się
domek. Kto w nim mieszka, zadawałam sobie pytanie i spogląda-
łam nań z boku, na razie się nie zbliżając. Dlaczego nie ma zagrody
dla bydła? Dlaczego dom nie jest ogrodzony balami albo płotem?
Zbudowano go z gliny, na dachu nie było komina. Czyżby ten, kto
w nim mieszka, nigdy nie palił w piecu? Może właścicielem jest
tamten żebrak, który odwiedził moją praprababcie, pomyślałam.

13

Odczekałam jeszcze chwilę, mając nadzieję, że z domu ktoś wyj-
dzie, ale nikt się nie pokazał. Podkrađłam się bezgłośnie. W domu
panowała cisza. Babcia nigdy nie wspominała, że za cmentarzem
ktoś mieszka. Myślałam, że wieś kończy się na naszym domu.

Podsiedłszy aż pod sam dom, chciałam zajrzeć przez okno, dla-
tego wspierałam się na palcach, ale było za wysoko. Rozejrzałam się
wokół i zauważyłam kilka kamieni rzecznych, które poniewierały
się w pobliżu. Podniosłam jeden z nich – był zimny i ciężki, z wierz-
chu pokryty mchem. Pewnie leżał tu od dawna, ponieważ wrósł
w ziemię. Pełzały pod nim różowe robaki. Kiedy przesunęłam ka-
mien, robaki zaczęły się poruszać. Oj, tak się przestraszyłam, że

najpierw upuściłam kamień. Potem znowu go podniosłam – zmiażdżone pośrodku robaki wciąż się poruszały.

Z wielkim trudem – musiałam zrobić kilka kroków – zataszczyłam kamień pod dom. Położyłam go pod oknem, po czym stanęłam na nim i zajrzałam do środka. Z początku niczego nie mogłam dostrzec, ponieważ w domu było ciemno, ale później oczy się przyzwyczaiły i na środku pokoju zobaczyłam duży stół. Tylko że nie był taki jak zwyczajne stoły, lecz pochłyły, jak zbocze, po którym dopiero co zesłam. Stały pod nim żelazne miednice. Na ścianach wisiały jakieś dziwne żelazne narzędzia – u dziadka nigdy takich nie widziałam. W kącie leżały białe i zielone kawałki materiału. Noga ześliznęła mi się z kamienia, niechcący uderzyłam ręką w szybę i wydało mi się, że materiał się poruszył. Ze strachu rzuciłam się do ucieczki, ale wdrapywać się po zboczu było trudniej, niż schodzić po nim. Kalosze zjeżdżały do tyłu, a ja bałam się odwrócić – wydawało mi się, że z domku wybiegł ktoś owinięty w białą tkaninę i rzucił się za mną. Chyba nawet słyszałam, jak stuknęły drzwi. Płakałam i krzyczałam. Gdy wdrapywałam się na górę, z nogi spadł mi kalosz, więc pobiegłam w jednym. Krzyczałam tak głośno, że mama, usłyszawszy mnie, wybiegła z domu. Zobaczyłam ją pomiędzy kamieniami, kiedy wspierałam się na szczyt zbocza. Gdy biegła, chustka zsunęła jej się na szyję, rozwiązała i powiewała jak długi ogon. Mama chwyciła mnie na rękę i zaniósła do domu. Po drodze też płakała i czułam, jak poruszają jej się żebra pod bluzką.

Nazajutrz babcia zesłała po zboczu i znalazła mój kalosz. Zabroniła mi chodzić do tamtego domku.

Bez względu na to, jak gorąco jest w górach w ciągu dnia, nocą ze szczytów zawsze opada na wieś chłód. Nie jest to taki chłód jak w mieście. Tam można włożyć wełnianą bluzkę i szybko się

rozgrzać, w górach zaś zimno przenika przez ubranie. Gliniane podłogi w domach stają się lodowate. Nie wystarcza jeden wełniany materac, trzeba rozściełać na podłodze od razu dwa.

Sypiam na podłodze. Cała nasza rodzina śpi na podłodze. Babcia ma łóżko, ale jej też na podłodze jest wygodniej. Leżąc nocami na wełnianym materacu, zawsze przypominam sobie historię śmiałka, którą opowiedział mi dziadek. Władca pewnego kraju obiecał oddać rękę córki temu, kto zdoła spędzić noc w górach – na najbardziej ośnieżonym szczycie. Kandydat na zięcia mógł zabrać ze sobą tylko czterdzieści koców. Niejeden młodzieniec pragnął pojąć za żonę piękną córkę władcy. Wszyscy chętni udawali się na noc w góry. Rozściełali na ziemi jeden koc, a pozostałymi się nakrywali. Nad ranem umierali z zimna. Ale pewnego razu zgłosił się śmiałek. Rozesłał na ziemi trzydzieści dziewięć koców, a ostatnim się nakrył. Przez całą noc było mu ciepło, ponieważ dobrze zabezpieczył się przed zimnem ciągnącym od ziemi. Rano śmiałek ożenił się z piękną panną i otrzymał za nią bogaty posag.

15

Wczesnym rankiem we wsi zimno zawsze walczy z upałem. Upał zwycięża, kiedy koguty dawno piałły, a kobiety już wracają ze źródła. Lubię zapach wiejskiego poranka, odgłosy rozbudzonych obejść. Czuć zapach paleniska, gorących podpłomyków i czystej wody z rzeki. Za bramą szemrze woda w rowie przepływającym z jednego końca wsi na drugi – obok każdego domu. Gęsi i kury piją wodę z rowu, myje się też w nim naczynia. Brudna woda z talerzy leci od pierwszego do ostatniego domu.

Najbardziej lubię te poranki, kiedy babcia idzie do sadu, żeby piec chleb. Siada na ziemi koło glinianego pieca z daszkiem, kładzie na kolanach duże drewniane koło i na nim rozwałkowuje ciasto. Krąg ciasta wychodzi jej jak słońce, gdy wschodzi i zachodzi.

Powiadają, że moja prababcia – mama babci – potrafiła w ciągu minuty rozwałkować ciasto od razu na dwa kręgi. Kładła jeden kawałek ciasta na drugi, przesypując je mąką, po czym

rozwałkowywała. Oba kręgi wychodziły bardzo równe. Teraz nikt już tak nie potrafi, nawet babcia.

Rozwałkowany krąg na chinkał powinien być równy i cienki, niepofałdowany. Następnie ciasto kroi się na drobne kwadraciki i wrzuca do wrzącego bulionu. Kiedy w domu zjawiają się swaci, najpierw proszą narzeczoną, żeby przygotowała chinkał, a kobiety ze strony narzeczonego przyglądają się, jakie jej wyjdzie ciasto.

Rozwałkowawszy ciasto na chleb, babcia smaruje je roztopionym masłem i kilkakrotnie nakłuwka kurzymi piórami związanymi w pęczek. Następnie układa krąg ciasta na blasze i wsuwa ją do okrągłego glinianego pieca, który zrobił dziadek. W piecu pali się chrust, więc blacha się nagrzewa. Babcia rozwałkowsuje ciasto na jeszcze jeden krąg i przewraca podpłomyk. Pachnie chlebem. Jak ja lubię ten zapach, połączony z wonią paleniska i poranka! Przepłatany odgłosami napływającymi z gór. Jeśli w oddali ktoś krzyknie albo zaryczy bydło, góry zmieniają ten dźwięk, ale on i tak dotrze do wsi.

16

Nasz sad, podobnie jak sady innych mieszkańców wsi, kończy się wysokim urwiskiem, za którym głęboko w dole płynie rzeczka. Widać w niej wiele śliskich kamieni. Nie jest głęboka, ale za to bardzo rwąca. I dniem, i nocą słyszymy jej szemranie. Dawno przyzwyczailiśmy się do tego dźwięku i przestaliśmy zwracać na niego uwagę. Kiedy babcia odrywa mi gorący kawałek pierwszego podpłomyka, mam wrażenie, że razem z nim połykam i wodę z rzeczki, i wszystkie odgłosy wsi. Gorące podpłomyki są bardzo smaczne. Nie smaruję chleba masłem i nie zanurzam go w maślanec. Jeśli jest gorący, to lepiej niczym go nie psuć.

Siedzę obok babci na ziemi, powietrze jest jeszcze chłodne, ale promienie słońca już grzeją w plecy. Góra gotowych podpłomyków, które babcia układała jeden na drugim, sięga jej kolan. Czyścimy więc drewniane koło i wałek, myjemy miednicę i idziemy do domu. Babcia niesie podpłomyki zawinięte w ściereczki.

Później do dużego glinianego dzbana z dwoma uchami zlewa mleko, które krowy dały rano. Mleka nie można zostawić do wieczora, bo skwaśnieje. Babcia zatyka szyjkę dzbana korkiem i kołyszymy go z boku na bok, siedząc z podwiniętymi nogami na matkach naprzeciwko siebie. Babcia przechyla dzban w moją stronę, a ja w jej: tam i z powrotem, tam i z powrotem. Nie lubiłam ubijać masła – nudno tak siedzieć i kołysać dzbanem. Po trzech godzinach, kiedy drętwieje mi już ręka, babcia wyciąga korek i zbiera z góry żółte masło. Wychodzi grudka o rozmiarze głowy jagnięcia. Babcia rozlewa maślanekę do talerzy i jemy śniadanie, zanurzając w niej kawałki podpłomyka. Ze starości babcia straciła wiele zębów – była już po czterdzieście. Wyszła za męża jako czternastoletnia dziewczyna. Kiedy miałam sześć lat, mama skończyła już dwadzieścia pięć i babcia mówiła, że takiej starej kobiety nikt nie weźmie ponownie za żonę.

– Pewnie żałujesz, że wcześniej nie owdowiałam? – zapytała kiedyś mama.

– *Astaghfirullah!** – Babcia zamachała na nią rękami.

Babcia wkruszyła podpłomyk do maślanek, żeby rozmiękł. Mój kawałek posmarowała masłem. Nie lubiłam wiejskiego masła, bo pachniało krową. W mieście masło było smaczne. Kupowałyśmy je z mamą w papierowym opakowaniu. Później piłyśmy z babcią herbatę, przegryzając ją cukrem. Babcia rozłupała żelaznymi szczypcami kawałek cukru na kilka części i dała mi dwie. Włożyłam jeden kawałeczek do ust i powoli go ssałam, upijając małe łyeczki herbaty. Cukier cały się roztopił, podczas gdy moja szklanka była jeszcze do połowy pełna. Babcia mówiła, że cukier trzeba oszczędzać, toteż jedną szklankę należy pić tylko z jednym kawałeczkiem. Kiedy mieszkaliśmy w mieście, ojciec kupował mi karmelki i batoniki. Najbardziej lubiłam batoniki. Chyba przez rok uczyłam

* *Astaghfirullah* (arab.) – Niech mi Allah wybaczy (przyp. tłum.).

się utrzymywać na języku cukier aż do ostatniego łyeczka. Pewnego dnia babcia przydzwigała na plecach ze sklepu cały worek cukru w kawałkach, ale nie mogłam go znaleźć – zawsze chowała przede mną cukier.

Moje życie do chwili obecnej dzieli się na trzy części. Dzieciństwo – kiedy mieszkaliśmy z mamą, później – dopóki brat mamy Hadzi-Murat nie wrócił z wojska i nie ożenił się z ciocią Nadirą, no i wreszcie ta część, która zaczęła się kilka miesięcy temu i trwa do tej pory. Przypominam linoskoczka, który bez asekuracji pokonał dwie trzecie długości liny i nie wie, czy na końcu nie spadnie.

18 Pewnego dnia przyjechali do nas linoskoczkowie – po naszymu pehlewani. Pamiętam, że cała wieś – nawet kobiety – porzuciła swoje zajęcia i pobiegła na polanę za źródłem, gdzie już rozciągnięto gruby sznur pomiędzy wysokimi drewnianymi słupami. Ludzie siedzieli w półkolu i wesoło ze sobą gawędzili. Mężczyźni klaszali, wydawali urywane, ochryple dźwięki i dodawali animuszu pehlewanowi stojącemu na linie z długim drągiem w dłoniach. Uginając kolana, pehlewan kołysał się na linie, a drąg w jego dłoniach poruszał się w górę i w dół. Do rękawów czerwonej koszuli mężczyzna miał przywiązane dzwoneczki, które dzwoniły przy każdym ruchu. Na koszulę włożył zieloną aksamitną kamizelkę z naszytymi drobnymi kawałkami lusterka. Słońce odbijało się w szkiełkach i raziło nas w oczy. Wszyscy się śmiali i cieszyli. Mnie również było wesoło, więc i ja uderzałam w dłoń.

Pehlewan podskoczył na linie i dzwoneczki zabrzęczały głośniej. Mężczyzna podskoczył jeszcze raz i fiknął koziołka w powietrzu. Gdy dotknął nogami liny, wszyscy zaczęli bić brawo. Ktoś podał pehlewanowi krótką drabinę. On zaś, przystawiwszy drąg do słupa, umieścił ją na linie i przytrzymał jedną ręką, żeby się nie przewróciła. Nie mogłam uwierzyć, że zaraz się na nią wdrapie,

ale mężczyźni ochryplymi głosami zachęcali go z dołu. Trzymając się wciąż drabinki, pehlewan postawił nogę na pierwszym szczeblu i wbiegł na ostatni tak prędko, że nie zdążyłam nawet mrugnąć. Potem zrzucił drabinkę na dół i chwyciwszy drąg, pobiegł w kierunku drugiego słupa. Na końcu liny noga mu się pośliznęła i mało nie upadł. Wszyscy głośno jęknęli, a dźwięk jak gdyby rozszedł się po całej wsi i górach. Poczułam, jak w środku zadygotało mi serce, tak się o niego złąłam.

– On to robi specjalnie – wyjaśnił dziadek. – Dobry pehlewan powinien umieć tak się przewracać, żeby nie upaść. To trudniejsze niż zwyczajne bieganie po linie.

– Po co ma się przewracać? – zapytałam.

– Żeby nas przestraszyć.

– Po co ma nas straszyć?

– Żebyśmy chodzili na jego występy – odparł dziadek, jednak wówczas nie zrozumiałam jego słów. Za to teraz, niestety, rozumiem je doskonale.

19

Pehlewan zeskoczył na ziemię, włożył maskę kozy i zanurkował w tłumie. Wyjął rękę z kieszeni, zaciskając coś w pięści, a potem obsypał kobiety i dzieci jakimś różowym proszkiem. Kobiety zaczęły krzyczeć, a dzieci rzuciły się do ucieczki. Wtedy ruszył ku przeciwnemu krańcowi – tam gdzie siedziałam z dziadkiem. Wyjął drugą rękę z kieszeni i obsypał nas niebieskim proszkiem. Gdy wciągnęłam powietrze, załaskotało mnie w nosie, więc kichnęłam i się rozplakałam. Pehlewan zaczął przede mną tańczyć, ale jego lezginka* nie była taka, jaką tańczy się na weselu. Wywijał rękami i podskakiwał z taką siłą, że przypominał naszą kozę, która pewnego razu się rozeźliła i tłukła w nas kopytami, aż dziadek musiał ją zabić. Dzwoneczki na rękawach pehlewana nie przestawały

* Lezginka – tradycyjny, ludowy taniec kaukaski o tempie żywym, tańczony pojedynczo, w parach lub zbiorowo (przyp. red.).

dzwonić, toteż zasłoniłam uszy rękami. Zacisnęłam oczy, żeby nie widzieć przed sobą koziej mordy.

– Nie bój się – powiedział dziadek. – To mąka owsiana.

Pehlewan-koza wciąż tańczył, mocno wymachując rękami. Wszyscy się śmiali i klaskali, ale ja dłużej nie chciałam na niego patrzeć, przestał mi się podobać. Śmiałabym się, gdyby znowu wdrapał się na linę i spadł. Gdyby upadł i potłukł się, stałabym i patrzyła na niego, bijąc brawo. Podniosłam się z kolan i pobiegłam ścieżką do wsi. Pędziłam, nie zatrzymując się, aż dobiegłam do naszej bramy.

Pamiętam, jak w naszym domu rozpoczęły się przygotowania do wesela wujka. Było to wiosną. Skończyłam sześć lat i już prawie od roku mieszkaliśmy z mamą we wsi. To znaczy, że od dnia śmierci mojego ojca również minął prawie rok. Najpierw wysłaliśmy do domu narzeczonej swatów – naszych krewnych. Wrócili, przynosząc zgodę. Od zrękowin do ślubu musiał minąć rok. Odliczałam czas do wesela wujka: lato, jesień, zima...

20

Gdy tylko krewni wrócili do domu ze zgodą narzeczonej, babcia przystąpiła do przygotowań. Pojechała ciężarówką do miasta i tego samego dnia wróciła stamtąd z wielką skórzaną walizką. Postawiła ją na sumaku, rozpięła suwak i zaczęła wyjmować rzeczy – długie szyfonowe i kapronowe spódnice, jedwabne chustki i bardzo ładne bluzki z długimi rękawami. Mama przyniosła z naszego pokoju pudełko z perfumami. Dostała je w prezencie ślubnym przed ośmiu laty. Kobiety często otrzymują w podarunku perfumy, ale ich nie używają – przechowują dla przyszłych synowych albo ofiarowują komuś innemu. Kiedyś się zdarzyło, że pewna kobieta przechowywała perfumy, które przywieziono jej z Turcji w prezencie, a później podarowała je swojej synowej. Gdy dziewczyna otworzyła flakonik, ten okazał się już pusty – perfumy wyschły.

Babcia przywiozła również z miasta dużo ręczników, perkalo-
wych i kapronowych kuponów materiału oraz ładnie zapakowane

kostki mydła. Wąchałam je przez opakowanie, pachniały jak zefirki. Zanim ojciec umarł, często jadłam zefirki – tata kupował mi je w dniu wypłaty. Miał świetną pracę i bardzo dobrze zarabiał.

Chciałam się umyć takim mydłem. Skóra pewnie od razu zrobi się po nim gładka, myślałam. Ale babcia mi nie pozwoliła, choć ją bardzo prosiłam. Mydło i ręczniki należy podarować krewnym i sąsiadom, którzy przyjdą złożyć nam życzenia z okazji wesela. A walizka z rzeczami jest przeznaczona dla narzeczonej. Babcia włożyła do niej jeszcze złoty łańcuszek i pięć złotych pierścionków. Złoto dla synowej babcia zbierała przez całe życie.

– I tak wróci do rodziny – powiedziała, pakując biżuterię do walizki.

Kiedy mama wychodziła za męża, rodzina mojego ojca przyniosła jej tylko dwa złote pierścionki. Babcia mówiła, że z powodu takiej hańby wstyd jej było spojrzeć sąsiadom w oczy. Ale z miasta przyjechała siostra babci i przywiozła ze sobą jeszcze dwa pierścionki. Wszystkie cztery babcia włożyła mamie na palce i wyprawiła ją po wodę do źródła, żeby każdy widział, że nasza rodzina nie skoliga-ciła się z żebrakami.

Babcia zawsze powtarzała, że mój ojciec to nie jest partia dla matki. Jego rodzina nigdy groszem nie śmierdziała. I jeśli jego matka wychodziła za męża w jednym złotym pierścionku na palcu, to babcia nie potrzebuje takiej hańby dla swojej córki, bo to wstyd przed ludźmi. Cała wioska do tej pory pamięta, jak matka mojego ojca wychodziła za męża w jednym pierścionku.

Odkąd umarł mój tata, ani razu nie widziałam krewnych z jego strony. Słabo pamiętam swoją drugą babcię. Kiedy o niej myślę, z jakiegoś powodu zawsze przypominają mi się jej niebieskie oczy i długa granatowa spódnica z wytłoczonym wzorem. Gdy na mnie patrzyła, miałam wrażenie, że ktoś polewa mi plecy zimną wodą. Moja babcia ze strony ojca urodziła dwanaścioro dzieci i nie pamiętała wszystkich swoich wnuków.



Chadidża dorasta w wiosce na północnym Kaukazie, gdzie świat nie zmienił się od wieków. Dziewczyna uczy się wierności islamskiej tradycji oraz posłuszeństwa woli Allacha, starszych i mężczyzn.

Gdy dorośnie, trafi do miasta rozzdzieranego wojną między muzułmańskimi bojownikami i rosyjskimi siłami specjalnymi. Choć delikatna, wrażliwa Chadidża bezustannie dokonuje kolejnych wyborów, tak naprawdę nic od niej nie zależy. Nawet kiedy pójdzie za głosem serca, trafi wprost do fanatyków usprawiedliwiających nienawiść przemocą i religią.

Podczas podróży do Dagestanu rosyjska reporterka **MARINA ACHMEDOWA** była świadkiem ataku sił specjalnych na kryjówkę muzułmańskich ekstremistów. Poruszona widokiem obławy i jej ofiar postanowiła napisać powieść, która odpowie na pytanie, **co sprawia, że muzułmańskie kobiety dokonują samobójczych zamachów.**

FINALISTKA ROSYJSKIEGO BOOKERA 2012
NOMINACJA DO NOS LITERARY PRIZE 2011

„Ta książka oparta jest na wielu **prawdziwych historiach**, których byłam świadkiem i które zebrałam w jedną. Nie jestem ekspertem – **jestem tylko reporterką opisującą to, co zobaczyła na własne oczy**”.

Marina Achmedowa

Cena 39,90 zł

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com

